

## **Czego się uczyć?**

Autor tekstu: **Jerzy Neuhoff**

**P**ojawił się alarmujący komunikat informujący, że wiedza naukowa Polaków znajduje się na nader niskim poziomie. Nie wiedząc, przeciętnie, że w czasach dinozaurów nasi przaszczurowie bardziej byli podobni właśnie do tego niesympatycznego gryzonia, niż do któregokolwiek z dziś żyjących naczelnych, o człowiekowatych nie mówiąc, nie wiedząc, jak to jest z elektronami, których dostarcza nam elektrownia lub które możemy sobie kupić niemal na sztuki w opakowaniach firmy „Alkaline”, tudzież bez znajomości kogoś spośród noblistów, włączamy się w intelektualnym ogonie zjednoczonej Europy. Niby każdy rozumie, że ktoś musi pierwszym, a ktoś ostatni, i trudno wymagać, aby 27 państw zajmowało jednocześnie pierwszą i jedyną pozycję, może więc nie powinniśmy z tej racji specjalnie lamentować, jednak fakt, że nasze przodujące uniwersytety, wg szanghajskiego rankingu, znajdują się gdzieś na końcu stawki, specjalnie dumą chyba nie napawa.

Nie ukrywam, w pierwszej chwili obudził się we mnie demon odwetu i wydało mi się sensownym, aby w rewanżu, dając należyty odpór wrogim siłom, któraś z naszych rozlicznych akademii, ewentualnie któryś z uniwersytetów, sporządziła swoją listę rankingową, jednak już po pobieżnym zapoznaniu się z historią powstania tej szanghajskiej listy i międzynarodowymi koneksjami jej twórców, zmieniłem zdanie. Uznałem, że jest to sprawa beznadziejna, bardziej może sprawie zaszkodzić, niż jej pomóc. A już oczyma wyobraźni widziałem listę, na której czołowe miejsca zajmują jedynie słuszne uczelnie, a na nieco dalszych plasują się jakieś tam uniwersytety czy były politechniki. Moje lekceważenie wyników tych europejskich i chińskich ocen jeszcze mocniej zmalowało w momencie, gdy jeden z uczestników teleturnieju „Jeden z dziesięciu” nie potrafił podać polskiego odpowiednika słowa 'Ewangelia', inny zaś nie znał nazwiska aktualnego prymasa. Sprawa wygląda więc wyjątkowo poważnie i nie polepszył mojego nastroju nawet komunikat, że gliwiccy chirurdzy są gotowi do przeszczepu twarzy, czyli zrobienia czegoś, co niedawno było niewyobrażalnie trudnym, a w naszym kraju wydawać się mogło nawet niewykonalnym.

Jakby mało było jednego zmartwienia, kilka dni temu usłyszałem w radiu, że jakaś ankieta wykazała, iż młodzież po gimnazjach nie orientuje się, w jakim wieku pójdzie na emeryturę, o ile kolejny Sejm nie zmieni obowiązującej ustawy, co oznacza słowo 'bessa' i w jeszcze paru podobnych sprawach wykazuje godną pożałowania ignorancję lub beztroskę. Dla komentującego nie ulegało wątpliwości, podobnie jak i dla mnie, że uczyć należy przede wszystkim ekonomii. Z nieukrywaną satysfakcją odkryłem, że mój pogląd jest także zbieżny z poglądem prof. Krzysztofa Rybińskiego, który sądzi, że najbardziej w całej aferze Amber Gold zawiniły Ministerstwo Edukacji Narodowej i Ministerstwo Pracy, bo ich dziełem jest całkowity analfabetyzm finansowy większości rodaków. Jeszcze bardziej rozsierdziły mnie wypowiedzi zamieszczane w Onecie, związane z akcją 'Oszukani'. Utwierdzają mnie one w przekonaniu, że państwo powinno trzymać się jak najdalej od prób budowania własnych fabryk, co się marzy także niektórym politykom. Wystarczy jeden produkt, do którego wytwarzania i obowiązkowej dystrybucji upoważnione jest jedynie państwo, czyli obowiązujące prawo, za przykład jakości i kosztów państwowych produktów. Przykładami codziennie służą prasa i telewizja.

Ten analfabetyzm ekonomiczny i finansowy nie jest specjalnie nową rzeczą; przypomniałem sobie plan finansowy Kalasantego Fasolnickiego, naiwnego hreczkosieja, z roku 1873, i jego końcowy wynik, o umiejętnościach rachunkowych Izabeli Łęckiej wspominałem już wcześniej. Znane jest też porzekadło o interesie, jaki zrobił niejaki Zabłocki na mydle, choć podobne historie wydarzyły się i w innych krajach. A przecież przesławny ksiądz Benedykt, w swym równie przesławnym dziele, w rozdziale „Ptactwo, które jaką Artem wynalazło?” pisze „Ekonomiki nauczyły sroki, kukułki na zimę przątające Victualia” i już ten zasób wiedzy powinien w zasadzie wystarczyć do życia.

Żarty na bok. W czasach, kiedy byłem zatrudniony w poważnej państwowej instytucji, zauważyłem, że wiele osób, niezależnie od wykształcenia, ma problemy z gospodarowaniem swymi pieniędzmi. Często brakowało im 'do pierwszego', a w przypadku większego wydatku, gorączkowo poszukiwali możliwości zaciągnięcia pożyczki, zwłaszcza, że system sprzedaży ratalnej nie obejmował wszystkiego. Brak pieniędzy jest problemem znanym od dawien dawna, dlatego od równie dawna znany jest system kas zapomogowo-pożyczkowych. Podobnie było i w mojej instytucji, dlatego prawie każdy, natychmiast po przyjęciu do pracy, radosnym wstąpieniu do związku zawodowego i pobraniu ochronnej odzieży, od razu ochoczo zapisywał się do takiej kasy, w której po kilku miesiącach pracy można było otrzymać pożyczkę, najpierw w wysokości

miesięcznej pensji, potem większej. Na rzecz kasy, czyli w celu tworzenia odpowiedniej rezerwy finansowej, jej członkom potrącano z pensji pewną kwotę, chyba pół procenta od wynagrodzenia.

Niektórzy, bardziej przemyślni, stosowali taktykę 'pozornego oszczędzania'. Polegała ona na braniu w owej kasie pożyczki, a jej spłata nie była obciążona żadnymi odsetkami, i natychmiastowym wpłaceniu całej kwoty na książeczkę PKO, która dawała kilka procent odsetek. Ta, powszechnie stosowana praktyka, z ekonomicznego punktu widzenia miała sens, ale u źródeł takiego postępowania nie leżała chęć uzyskania dodatkowego, nieopodatkowanego dochodu, a niezdolność do samodzielnego odłożenia najmniejszej bodaj kwoty. Przykład dawany przez starego Mincla z „Lalki” nie miał, jak się okazuje, większej siły oddziaływania, wręcz przeciwnie, własną niegospodarność, prawdziwą lub pozorowaną, niektórzy traktowali niemal jak cnotę. Moje zdziwienie tymi faktami może stanie się zrozumiałe, jeśli powiem, że wywodzę się z poznańskiego, a w rodzinnej wsi skąpstwo jednej z moich licznych ciotek, ongiś było przysłowiowe, dziś jeszcze jest dobrze pamiętane, tak jak rozrzutność dziadka.

Coś z tego chyba pozostało, ponieważ pomyślność, własną lub cudzą, nader często traktujemy, jako coś nieprzyzwoitego, wręcz podejrzanego. Stąd też chyba bierze się nieustanne wieszczanie nadchodzącego kryzysu, niemal pragnienie jego nadejścia, wręcz twierdzenie o jego apokaliptycznym wymiarze i już dokonywanym pustoszeniu kraju, niezupełnie w zgodzie z faktami. Nasuwa mi się przy tym inne spostrzeżenie. Otóż w czasach, gdy dyplom, a więc i wiedzę uniwersytecką czy politechniczną można było zdobyć względnie niskim kosztem, bo mówienie, że była ona 'za darmo', nie jest pełną prawdą, chętnych do jej nabywania było jakby mniej niż dziś, kiedy trzeba za nią sporo zapłacić. Władza nawet usilnie zachęcała osoby klasowo jej miłe do podejmowania tego trudu, ale i tak w którymś momencie stwierdziła, że na wyższych uczelniach mniej jest dzieci robotników i chłopów, niż to było w latach przedwojennych. Z moich obserwacji wynika, że dziś często bardziej chodzi o dyplom niż o wiedzę, ale po jego uzyskaniu wielu uważa, że posiadli także wiedzę, co też nie jest pełną prawdą. Przekonanie, że wraz z wręczeniem dyplomu w cudowny sposób wpływają do głowy nieobecne w niej wcześniej wiadomości, jest dość rozpowszechnione, ale nie zawsze wytrzymuje konfrontację z życiem, a stąd prosta droga do frustracji, depresji i gadania o 'straconym pokoleniu'. Powszechny run na dyplomy, co uważam za właściwe, jest chyba przykładem prawdziwości poglądu, że dobra cenimy, jeśli są one kosztowne, opisanego ponad sto lat temu przez Thorsteina Veblena w *Teorii klasy próżniaczej*.

Pojedynczy tylko z nas zakładali rachunki oszczędnościowo-rozliczeniowe, które zaczęły rozpowszechniać się chyba w latach 70., ale PKO specjalnie tego 'produktu finansowego', wtedy jeszcze tego określenia nie znaliśmy, nie reklamowała, bo jego prowadzenie przysparzało jej raczej kłopotów. Warunki pracy i ówczesne wyposażenie techniczne naszych banków, to jest historia, która dzisiejszym nastolatkom nie zmieściłaby się w głowach. Kiedy w latach 80. i 90. korzyści z posiadania takiego rachunku stawały się coraz bardziej oczywiste zarówno dla osób indywidualnych jak i dla naszego przedsiębiorstwa, wiele osób postulowało wpłacanie pensji bezpośrednio na konta bankowe, ale równie wielu protestowało przeciwko temu pomysłowi. Byli tak przywiązani do banknotów w portfelach i bilonu w portmonetkach, potem bilonu już nie było, że nie wyobrażali sobie posługiwania się czekami lub kartami płatniczymi. Niektórym to pozostało do dziś, bo nie tak znowu rzadki jest widok emeryta niespokojnie wyglądającego przez okno za listonoszem z emeryturą.

Jeszcze większe protesty wywołała propozycja zmiany sposobu naliczania i wpłacania pensji z comiesięcznego na cotygodniowy, a taka także się pojawiła. Nie pomagały tłumaczenia, że pensja płacona z dołu oznacza de facto kredytowanie zakładu przez okres miesiąca, a w czasach szybkiej inflacji straty z tego tytułu były znaczne. Protesty były tak zdecydowane, że głoszący tę propozycję szybko zamilkli.

Fatalnie przedstawiał się ten aspekt życia także u wielu robotników. Ci najbardziej niezaradni albo nazbyt rozrzutni, raz po raz brali tzw. „chwilówki”, czyli dodatkowe zaliczki na poczet pensji. Dla wyjaśnienia: pensja robotników była wypłacana w dwu ratach; pierwszą, tzw. zaliczkę w wysokości do 50% całej płacy, płacono około 25 każdego miesiąca, a resztę, czyli „wyrównanie”, 10 następnego miesiąca. Biorący chwilówki mieli więc pensję dzieloną na trzy raty, ale płaca cotygodniowa, czyli pensja miesięczna podzielona na cztery raty, zupełnie nie mieściła się im w głowach. Często dziwiłem się, że są rodziny, w których pracowały dwie, a niekiedy więcej osób, i które zarabiały dwa razy więcej ode mnie, a taka proporcja utrzymywała się przez pierwszych kilka lat pracy, które zawsze cierpią na brak pieniędzy. Tu także wyjaśnienie: po tzw. stażu, czyli półrocznym zwiedzaniu fabryki i zaznajamianiu się z jej poszczególnymi oddziałami, zarabiałem 2200 zł miesięcznie, brutto, czyli tyle ile średnio wykwalifikowany robotnik, bo ci o najwyższym uposażeniu mieli ponad 3300zł, też brutto. Dochodził im jeszcze dodatek za 'wysługę lat', na który ja

musiałem czekać piętnaście lat, i mnóstwo różnych innych. System płac był naprawdę skomplikowany, a jego obsługa pracochłonna, dlatego na oddziale liczącym ok. 200 pracowników, trzy panienki, którym przybywało lat wraz z moimi, miały przy nim zajęcie przez okrągły miesiąc wypełniając ręcznie olbrzymie płachty papieru, a potem tnąc pracowicie na paski.

Wszyscy wszystkie swoje problemy zwalaliśmy na niskie zarobki, władza też trzymała się kurczowo tego wyjaśnienia, więc każdy protest, odruch niezadowolenia, a potem strajki, łącznie z tymi najsłynniejszymi, gasiła strumieniem pieniędzy, ściślej, biletami Narodowego Banku Polskiego.

Widać z tego, że są rodzaje wiedzy, które nie są w żadnym stopniu brane pod uwagę w codziennym życiu, szczególnie wtedy, gdy w grę wchodzi przekonania. Oto mam przed sobą najnowszy ranking pracowitości posłów, a nie jest to pierwsza ani jedyna tego rodzaju lista. Wydawać by się mogło, że każdy poseł będzie w jakiś sposób brał pod uwagę swoją lokatę, choćby dlatego, by wykazać niekompetencję lub stronniczość autorów rankingu. Powinny też takie rankingi być zauważane przez kierownictwa poszczególnych partii, i to nie tylko z punktu widzenia analogicznego do punktu widzenia swoich posłów, ale do jakiejś analizy przydatności poszczególnych osób przy realizacji partyjnych celów.

Wreszcie, te rankingi powinny być przedmiotem zainteresowania wyborców, tak się przynajmniej zdaje i sędzę, że tę opinię podzieliliby niemal wszyscy. Jaka jest praktyka, tego nie wiem?

Wydaje mi się, że taki ranking może być z powodzeniem wykorzystany, ale przeciwko tym najlepszym. Cóż bowiem jest wart poseł pracowity i kompetentny, dla którego napędem jest troska o interesy państwa i społeczeństwa, który jednak nie potrafi albo i nie chce brylować na trybunie ani na korytarzach sejmowych? Nikt go przecież nie zna, ani wyborcy ani jego partyjni towarzysze, niech będzie, że partyjni koledzy. Wyborcy wiedzą przecież swoje i do tego nie jest im potrzebny żaden ranking, zwłaszcza, gdy stworzył go dziennikarz nielubianej albo wręcz wrogiej opcji. Znacznie więcej popularności zdobywa się przecież dołączając do policyjnego konwoju, bo jest to niemal igranie z życiem, czyli nasz narodowy sport, albo zmyślając cokolwiek, byle dołożyć przeciwnikowi.

Co jeszcze należy zrobić, aby uzyskać dobry wizerunek w oczach swoich wyborców albo i szefostwa swej partii? Niewiele, czasem wystarczy tylko teatralne kiwanie głową z wyraźnym politowaniem, jakie daje się raz po raz zauważyć u kilku posłów, także posłanek, podczas wystąpień politycznych przeciwników.

Nie od dziś znana i respektowana jest zasada, że im gorzej o mnie mówią moi krytycy, tym bardziej utwierdzają mnie w dokonanym wyborze i marszu po słusznej, czasem nawet jedynie słusznej, drodze. Dopiero, gdy krytycy zmieniają ton należy zastanowić się nad sobą. Czy może być gorsza przysługa od pochwały przeciwników politycznych? Dlatego nie zdziwię się, gdy kilku z grupy tych najlepszych posłów po najbliższych wyborach będzie musiało zająć się czymś innym. Na szczęście pół do popisu jest sporo, choć też mają tu miejsce jakieś dziwne mody, bo, jak zauważyłem, wszyscy nagle chcą uczyć, co i jak gotować. Nie wystarczają już, ich zdaniem, Robert Makłowicz, Ewa Wachowicz ani Marta Gessler i kilku cudzoziemskich kuchcików, abyśmy wreszcie pod względem kuchni wzniesli się na odpowiednio wysoki poziom; wszyscy nagle poczuli w sobie nowe powołanie, szkoda tylko, że tak późno. Czyżby w sejmowej restauracji tak wyrobili sobie smak, że poczuli potrzebę podzielenia się swoją wiedzą? Interesuje mnie, czy będą to robić wyłącznie z altruistycznych pobudek, czy też za jakieś drobne honorarium, bo może jest to nowa forma kielbasy wyborczej, którą tym razem każdy ma sobie przyrządzić sam. Mimo tych wątpliwości, zalecałbym im otwieranie nowych restauracji, może nawet grupowe branie w ajencję albo zajęcie się cateringiem. Wszystkim to wyjdzie na zdrowie, bo Sanepid czuwa.

Takie rankingi najlepszych, w ostatecznym rachunku, podobnie jak i najrzetelnwsze wyjaśnienia, niczego nie zmieniają, bo każdy wie swoje. Też nie jestem pod tym względem specjalnym wyjątkiem.

Przed laty modne były określenia 'indoktrynacja' i 'pranie mózgu', a przypomniały mi się one w związku z wyrokiem białostockiego sądu dla czwórki faszystów. Mam wątpliwości, czy ten rok za kratkami spowoduje zmianę ich widzenia świata; pozostaje mieć nadzieję, że nie skłoni ich do podejmowania radykalniejszych, bardziej przemyślanych akcji, ale przydałaby się im jakaś przepierka mocno skołtunionych zwojów mózgowych, dokonana przez psychologa. Kto wie, może od razu sięgnąć po pomoc psychiatrów, aby nie było to konieczne w przyszłości? W kilku innych przypadkach wszelka pomoc jest już spóźniona i nie ma żadnego sposobu na wlanie choćby szczypty oleju do głów, choć zrezygnować nie należy. Może sensowniejsze byłoby sięgnięcie do sprawdzonych metod indoktrynacji, choć, jak to wskazuje praktyka ostatniego stulecia, tą metodą daje się raczej

zainfekować mądrych wcześniej ludzi. Podobno północni Koreańczycy w latach 50. mieli pod tym względem spore osiągnięcia, kiedy to pracowali nad świadomością wziętych do niewoli żołnierzy amerykańskich.

Najgorsze jednak jeszcze przed nami, bo oto dwie partie zapowiadają radykalną reformę szkolnictwa i przedstawiają swoją nową wizję starej szkoły. Zapowiada się więc kolejny eksperyment, a głównie to nowe zamieszanie. Jedyne, co zalecałbym w tej sytuacji, to, aby wszyscy chwilowo wstrzymali się z owocną miłością, choć inteligentnym dzieciom żaden system szkolny nie powinien zaszkodzić.

[Jerzy Neuhoff](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 07-10-2012)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,8414) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,8414>)

Contents Copyright © 2000-2012 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2012 Michał Przech

Właścicielem portalu Racjonalista.pl jest Fundacja Wolnej Myśli.

Autorem portalu jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie elementy tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)